

Dlaczego brak autorów słuchowisk?

Zagadnienie literackiej twórczości radiowej w świetle opinii dyr. dramatycznego BBC

Val Gielgud, dyrektor dramatyczny British Broadcasting Corporation, udzielił wywiadu polskiemu dziennikarzowi, Z. Cithurusiowi, informując go o stosunkach w radjofonji angielskiej w zakresie słuchowisk literackich. Dyr. Gielgud, z pochodzenia Polak, wnuk gen. Gielguda, emigranta po powstaniu 1830-31 r., sam jest literatem; w „ABC - Radjowem” z 2.XII ub. r. sygnalizowaliśmy na tem miejscu ukazanie się polskiej adaptacji powieści radiowej, której współautorem był Gielgud (Śmierć w radjostacji). Opinia jego w sprawie słuchowisk, jako specjalnej formy radiowej, pod wieloma względami zgadza się ze stosunkami naszymi i tłumaczy je, dlatego warto ją przytoczyć.

Na pytanie: — Jak układa się praca działu słuchowisk w BBC? — odpowiedział dyr. Gielgud: — Z punktu widzenia poważnej produkcji dramatycznej kilka lat ubiegłych przyniosło i zachęte i rozczarowanie. Ujemną stroną było, żeśmy nie osiągnęli wyników, na które liczyliśmy w latach wcześniejszych: 1931-33; spodziewaliśmy się znacznego rozszerzenia programu słuchowisk, zarówno pod względem ilościowym, jak gatunkowym. Mam na myśli przede wszystkim słuchowiska specjalnie dla radja pisane.

— Można by stąd wnosić, że w Anglii brak autorów, interesujących się pisaniem do radja, które, jak przypuszczam, płaci znaczne honoraria?

— Zdawałoby się — mówi p. Gielgud — że albo ta nowa dziedzina niedostatecznie jeszcze pociąga naszych pisarzy lub też honoraria wydają się niewspółmiernie skromne. Małe zainteresowanie pracą dla mikrofonu widzimy zarówno u znanych już i poszukiwanych autorów, jak i mniej popularnych, a nawet nieznanymi, ale obiecujących pios. I jednych i drugich pociąga silniej kino, teatr, wreszcie wydawca. Zapewne, nie tylko, jako instytucje starsze, ale i lepiej placące i skuteczniej zabiegające o dobrych autorów, co znaczy to samo, co popularnych.

— Przecież Broadcasting może płacić wysokie honoraria, a prztem zapewnia mniej znanym pisarzom, wielką popularność?

— Gdyby nawet płacono znacznie więcej, to i wtedy przedsiębiorca teatralny, czy kinowy, będzie pociągał silniej, bo przecież sztuka poważna w radjo może być wystawiona conajwyżej dwa razy,

gdy repertuary teatralne, czy kinowe, trwają całe tygodnie, a często miesiące. Ponętniejszy jest także wydawca książki.

— Jak stąd można wnosić, stro na materialna niemal decyduje. Odnosić się to jednak może więcej do wypadków, w których chodzi o autora z ustaloną już popularnością, a tego „wzięcia” nie mają chyba „przy starcie”, autorzy nieznani?

— Oczywiście. Ale to my przecież robimy ich znanymi. Często już po paru słuchowiskach, które miały powodzenie, taki „nieznany autor” zainteresuje wydawców lub dyrektorów teatralnych, wiecznie poszukujących nowości. Radjofonja nie znalazła jeszcze skutecznych argumentów utrzymania w wierności autorów popularniejszych.

— W tych warunkach trudno zapewne było o większą produkcję typowego słuchowiska dramatycznego?

— Wyniki w tej dziedzinie są istotnie niewielkie, ale to, co osiągnęliśmy, utwierdza w przekonaniu, że radjo otwiera szerokie pole dla twórczości poważnej. Szereg słuchowisk, specjalnie dla studja pisanych, odniosło sukces

wielki. Jednakże adaptacje sztuk scenicznych miały powodzenie nadzwyczajne. Wzięliśmy znaczną rozpiętość pod względem wartości artystycznej i ideowej przystosowanych utworów, bo od Ibsena do Wallace’a. Dajemy często Szekspira, Wellsa i Dumasa.

Taka jest opinia dyr. Gielguda. Cechuje ją przede wszystkim pewne „doświadczeniowe” nastawienie człowieka, który sam zajmował się zamawianiem, kwalifikowaniem i nadawaniem słuchowisk w rozgłośni. Stąd tak dużo o placeniu, zabieganiu o autorów i t. p. Należałoby to uzupełnić w tym kierunku, że twórca radiowy musi mieć pewne szczególne zdolności, musi lubować się i swobodnie poruszać w zakresie wyłącznie akustycznych środków wyrazu, że dzieło radjofoniczne powinno być pomyślane odrazu w pewnym określonym materiale głosowym i tylko tacy autorzy, którzy tworzą w takich akustycznych kategoriach swoje dzieła radiowe i to specjalnie „miej” w ich zdolnościach i namietnościach twórczych, będą trwali w wierności dla radja.

Kto jest literatem, wyrażającym się najchętniej w formie pisem-

nej, czy dramaturgiem, tworzącym swoje dzieła dla sceny, ten może tam sobie coś machnąć dla zarobku i na użytek mikrofonu. Ale tylko ten artysta, któremu forma słuchowiska najlepiej odpowiada, jest potrzebą duszy, będzie producentem nie koniunkturalnym jedynie. A takich widocznie jest za mało, albo nie uświadamili sobie swego powołania i to trzeba by mieć również na uwadze, mówiąc o braku autorów słuchowiskowych.

List do redakcji

„Szary człowiek” o muzyce lekkiej

Szanowny Panie Redaktorze! W związku z art. p. Michała Kendrickiego w ABC Radjowym Nr. 76 z dn. 12 marca 1935 r. O podniesieniu poziomu muzykalności słuchaczy radiowych, chciałbym zabrać głos w imieniu tych jak ich p. K. nazywa „analfabetów muzycznych”. Otóż za bardzo ostro i krzywdząco p. K. potraktował słuchaczy lubiących muzykę lekką czy taneczną, bo przecież nie wszystko w tej muzyce jest „tandeta”, a przeciwnie muzyka lekka rozprasa szarżyzne dni na różnych troskach życiowych. Czasami może przemyci się jakiś marny „przebieg” taneczny, ale takich jest mało. Zgodzę się z tem, że dla profesjo-

row muzyki lub znawców muzyki poważna ma swoją wartość, na co nikt się nie burza. Ale „szary człowiek” chce mieć choć trochę rozrywki. Niepotrzebne są więc tu ironiczne wyliczki pod adresem tych „analfabetów”, tem bardziej że jest ich napewno duża większość.

Zresztą Polskie Radio samo uzgadnia chęci „znawców muzyki” i miłośników lekkiego repertuaru. Obecny program naogół jest dobry, nie potrzeba więc narzucać wszystkim słuchania sonat, czy innych poważnych utworów, bo od tego są koncerty.

Z poważaniem
M. Żebrowski

Z pokłosa naszego konkursu

Audycja — natchnieniem poety

Spośród odpowiedzi konkursowych umieszczamy poniżej opis przeżycia uczestnika, który zastrzegł sobie nieujawnianie nazwiska nawet literkami. Autor, młody literat, natchnienie do swego pierwszego drukowanego wiersza zdobył w oryginalny sposób: przez włamanie. W jakich warunkach i w jakim celu go dokonał — niech sam opowie:

To było wieczorem. Skończyłem ostatnią korepetycję i niemal bez tchu biegłem do domu. Na ulicach przed głosnikami stały już grupki ludzi. Przecież nie usłyszę głosu Kiepur, że nie dobiegnę na czas, nie zdąży schwytać swym detektorkiem całego koncertu.

Nareszcie! Klucz włożyłem w zamek, pordzewiały i skrzypiący. Zaciąłem się jak zwykle. Ale oto już drzwi otwarte, już tylko je pchnąć, zatrzaskać i jednym skokiem do szafy, po aparat.

Szafa. Szafa zamknięta! Zabrano klucze, nikogo niema w domu! Byłem blisko placu — przez zapończoną szymbalkę patrzyłem, jak naprzeciwko rozsiadli się w fotelach przed głosnikami.

Paroksyzm wściekłości. Obmyślałem zemstę na posiadaczach kluczy. Po tem próbie ratunku. Decyzja. Pomoc miotła, siekiery, huk, walenie w kliny ścian, zdejmowanie wieka — omal nie runęły drzwi z lustrem — sygnęły się ubrania, bielizna, kapelusze — jest mój aparat.

Rzuciłem się na łóżko, włączyłem wtyczki do kontaktu i — tylko cisza. Ale to był właśnie ten utątek ciszy, jaki dzieł koniec arji od wybuchu oklasków. Oklaski dudniły w słuchawkach bez końca. Od czasu do czasu łączyli się z nimi krzyk — bis! bis! I Kiepura bisował. Zaspiewał po polsku arję „Szumią jodły”. Wtedy jednak słyszałem, więc jednak schwytałem: choć ten okruh.

Swoją arję Kiepura wyspiewał mi wiersz. Długo go się wstydy, wtedy jednak byłem dumny, gdyż po raz pierwszy zdobyłem — mówiąc szczerze — łamy czasopism. Wiersz wydrukowało „Ra-djo”. Drukowano go kil-

A oto sam tekst wiersza:

Radio—Radio — Frankfurt am Main!
Der Künstler! Mistrz! Europejska
sława!

Entuzjazm, krzyk, brawa i brawa!
W ślębiejonej cizby szum
Okłasków rwie wichura —
Kiepura! Kiepura!
— szaleje tłum



TRANSMISJA
Z MEDJOLAŃSKIEJ „SCALI”
W ŚRODĘ 24. IV. O GODZ. 20.40

Wtem —
cisza srebrzysta
Ktoś rzucił po sali
i nagle — w wiolinów lazurze.
Jak błyskiem stał,
Fontanną przestąpił
Wytrysnął głos!
Pierścieniem korali —
Rozspisał się w górze
i w tonów błękitach
Akordem się pali
jak niebo o świcie,
jak słońca cios.
i dźwięczy
Melodją tęczy!
i śpiewa skrzydłami
i tańczy wichrami
i bije, jak gronu zwid
Ein polnisches Lied...

Szumią jodły na gór szczytów,
Szumią sobie w dal...

Frankfurt, Frankfurt drży
w zachwyci
Noch einmal! Noch einmal!

Już 420.000

Według danych na dzień 1 kwietnia r. b. liczba radjosluchaczy polskich na terenie całego kraju wyniosła 420.000 osób. W porównaniu z potężnymi radjofonjami Zachodu, bo, nawet z małą Czechosłowacją, — jest to cyfra bardzo skromna. Jednakże dane ostatnich kilku miesięcy, wskazują stały, systematyczny wzrost cyfry abonentów radiowych: Dla lepszego zilustrowania tej sprawy podajemy, że gdy na 1 stycznia r. b. liczba radjooabonentów wynosiła 374.047, to na 1 lutego wzrosła ona do 396.625, na 1 marca wyniosła 410.116, by wreszcie w dniu 1 kwietnia osiągnąć prawie 420.000 radjooabonentów.

Jeszcze bardziej wymowny jest fakt, że radjofonja polska w przeciągu dziesięciu lat istnienia zdobyła pozyskać około 300.000 abonentów, w jednym zaś tylko sezonie jesienno — zimowym 1934/1935, zyskała nowych zgórą 100.000 abonentów.

Z tygodnia

Audycje związane z Wielkim Tygodniem i Wielkanocą dominowały nad programem radiowym w ubiegłym tygodniu i z uznaniem podnieść trzeba, że obfitość tych audycji była większa niż w latach poprzednich, a i do bór bardzo staranny.

Trudno nietylko omówić, ale nawet wyliczyć wszystko, co godne było uwagi, bo i słuchowiska o charakterze specjalnym (m. in. nadała Warszawa przerobionego na słuchowisko wagnerowskiego Parsifala, a Lwów „Święty Boże” Kasprowicza) i cały szereg koncertów religijnych — ze wspomniami tylko o bachowskiej „Pisji św. Mateusza” z warszawskiej Filharmonji, „Stabat Mater” Ros siniego i „Zwierzciadło Jezusowe” Capletta ze Lwowa, „Stabat Mater” Szymanowskiego z Katowic, Haydnowskich „Siedmiu słowach Zbawiciela” z Poznania — i wreszcie audycje o charakterze zupełnie specjalnym. Ograniczając się tedy do stwierdzenia wysokiego poziomu audycji muzycznych, zajmijmy się nieco bliżej przede wszystkim tą ostatnią kategorią.

Na czoło wysunęła się transmisja uroczystej chwili, gdy Ojciec Święty z logietty ponad głównym portalem bazyliki św. Piotra udzielał błogosławieństwa „mistrzowi i światu”. Tu okazały się już

praktyczne korzyści stalografu, który pozwolił radiostacji warszawskiej, odebrawszy tę transmisję z Rzymu, nadać ją na całą Polskę na drugi dzień i nie mając normalnego programu eksperymentem, którego udania się nie można było zgóry przewidzieć, dać radjosluchaczom chwilę głębokiego i wzruszającego przeżycia.

Niedzielną transmisję nabożeństwa wielkanocnego z katedry w Pełplinie wyzyskano zarazem do zaznajomienia radjosluchaczy z tem jedynym w Polsce miastem specyficznie kościelnym, o najnajwiększej na naszych ziemiach świątyni, najwspanialszych organach, a należącej do rzędu tych wielu osobliwości polskich, które szerszemu ogółowi są dotąd nieznane.

Reportaż p. Bohdziewicz, poprzedzony z temperamentem, był żywy i plastyczny — do czego nie mało przyczynili się także ludzie miejscowi, traktujący rzecz całą ze sporą dozą humoru. Kapitałne zwłaszcza były rozmowy z Pomorzankami przy otwartym mikrofonie — zaimprovizowane dorywczo i dzięki temu właśnie bardzo bezpośrednie i żywe.

My tu wszec mome beldunek, mome matura — słyszało się w głośniku, poczem nastąpiło „przetłumaczenie na język polski”, z którego dowiedzieliśmy

się, że „beldunek” to — wykształcenie (Bildung). I nasuwały się bardzo ciekawe refleksje ogólne. Bo czy my wszyscy, stając na ziemi pomorskiej czy kaszubskiej nie grzeszmy jakimś urojonym „kompleksem wyższości”, nie traktujemy ludzi tamtejszych tak, jak gdyby mniej od nas byli Polakami, jak gdyby byli „zafocani” — gdy tymczasem to oni właśnie mogą nieraz mieć to samo uczucie w stosunku do nas? Ktośkolwiek bywa nad morzem, a obserwuje sprawy nie powierzchownie, ten wie, ile robiło się i robi błędów wskutek tej nieumiejętności znalezienia właściwego wspólnego języka. Obecne intensywne zwrócenie uwagi w naszej działalności radjofonicznej na odcinek pomorski ma przed sobą bardzo wdzięczne pole stopniowego naprawiania tych rzeczy i stawiania ich na właściwym gruncie.

W niedzielę poświęcono specjalną trzykwadransową audycję pieśni „Bogorodzica” — pomyśl równie bardzo dobry, szkoda tylko, że nieco pośpiesznie zrealizowany i wskutek tego nieprzygotowany tak, jakby można było. Zarówno objaśnienia literackie prof. Birkenmajera, jak i muzyczne prof. Jachimieckiego były nader ciekawe, szkoda tylko, że na zakończenie nie związane naszymi wrażeń w jeden węzeł, jeszcze raz reprodukcją całą pieśń — której teraz dopiero można byłoby wysłuchać z pełnym zrozumieniem.

Jest to uwaga, która zresztą nie tej jednej tylko audycji dotyczy. Jeśli się objaśnia rzecz „ex post”, to wiele z tych objaśnień traci grunt, bo się samego utworu nie mogło przecież słuchać od razu z takim wnikiem, jakiego się, jak to czyni fachowiec, który nam potem zwraca na te szczegóły uwagę. Jeśli zaś najpierw słuchamy prelekcji objaśniającej, a potem dopiero samego utworu, to znowu niejedno, coś my słyszeli i co narazie było czy stała tylko „teoria”, trudno odszukać i we właściwym miejscu postawić przy słuchaniu. Godziłyby wszystkie wymogi z sobą, tak aby tego rodzaju audycja dała rzeczywiście efekt całkowity, t. j. naprawdę czegoś nowego nauczyła i pozostała w pamięci, można tylko łącząc ze sobą organicznie oba momenty: słowo z muzyką, dzieło z komentarzem i rekapitulując całość, by się nie rozprószyło w oderwanych strzępach wrażeń.

Ciekawą próbą było przetran-sponowanie „Parsifala” na słuchowisko. W zasadzie jest to myśl bardzo słuszną i specjalnie „radjofoniczną”, gdyż tylko radjo jest terenem właściwym (i bez-konkurencyjnym) do tego rodzaju skrótów, dających dzieło operowe w syntetycznej postaci. Eksperyment, jak wszelkie eksperymenty, miał swoje słabe strony — ale to nie powinno przeszkodzić kontynuowaniu prób.

Rozgłoszania lwowska, która w tej chwili „pauzuje” między swoją 99-tą „wesołą falą” a jubileuszową setną, dała nam w niedzielę transmisję ze święconego u Szczepka i Tońka. Miłe pół godziny, które w ten sposób spędziliśmy wśród dobrze nam znanej lwowskiej kompanji, były także i tem charakterystyczne, że po zakończeniu audycji stwierdzaliśmy nie bez zadowolenia, iż teraz właściwie już nie można mówić o „monopolu” Szczepka i Tońka. Bo czyż obok nich nie wysuwa się coraz bardziej na front także cały szereg innych typów — coraz lepiej zmontowanych, coraz bardziej z sobą zgranych, coraz bardziej tworzących prawdziwą „wesołą rodzinę” radiową, w której bardzo mile spędza się czas, bez względu na to o czem gwarzą?

Jest to poważna zdobycz, którą dwuletnia praca potrafiła zdobyć sobie zespół lwowski — i jest to zarazem także cenny drogowskaz dla innych rozgłośni.

Bo np. mieliśmy w Warszawie szereg najrozmaitszych eksperymentów nad wytworzeniem równie czegoś podobnego — i dotąd bez rezultatu. Dlaczego? Najpierw, bo brakło konsekwencji, a nado ponieważ nie umiano rozwiązać problemu zespołowości.

Pierwszy defekt jest już, zdaje się, usunięty. Objęcie przez Tuwima roli głównego inspiratora Łoży Szyderców, wróży bardzo wiele — było mu tylko nie zabrać ochoty. Więc zastrzeżmy się,

już zgóry, że od kierownika Łoży nie można stale wymagać, aby dawał jakieś rzeczy nadzwyczajne, „godne Tuwima”, aby ciągle „świat zadziwiał” — boć nie o to chodzi, ale o to, aby powstała placówka o wytkniętej linii, swoistej fizjonomji, planowym rozwoju.

Lwowskich „batiarów” słuchamy przecież z wielką przyjemnością, gdyż z „folklorem” potrafili złączyć jednak pewien stopień postulatów kulturalnych. Nie dają nam fotografii, jak to na Zamarynowie czy Łyczakowie „ja kieś dwa cywili światła pogasił, gościom pyski zbili — taj już”, ale dają wesołe momenty i ukazują ten lud ek lwowski od jego najsympatyczniejszej strony. W Warszawie zaś mieliśmy parę audycji również ludowych, ale niestety z zapaszkami policji, awantury, niemal pod znakiem „majchra”. Jeśli był i sam tylko humor, to jednak nie budowany konsekwentnie, nie eksplloatowany tak planowo, by starczyło i za tydzień i za miesiąc i za rok. Tuvim zaś, jak się zdaje, wchodzi na tę właśnie drogę — szczęście mu Boże.

Pozostaje jeszcze sprawa wykonawców. Trzeba dobrać zespół typów, stałych, które mogłyby wytworzyć warszawską „wesołą rodzinę”. Jak dotąd bowiem, mamy tu ciągle zmiany, eksperymenty, poszukiwania. A trzeba przejść do pewnej „stabilizacji”.

M. Grz.